

Tristan, Izolda i totalna inwigilacja

Po premierze w Baden-Baden „Tristana i Izoldę” w reżyserii Mariusza Trelińskiego pokazał Teatr Wielki – Opera Narodowa.

We wrześniu spektakl stworzy sezon w Metropolitan Opera, później pojedzie do Pekinu.

JACEK HAWRYLUK

POLSKIE RADIO

Ten dramat w trzech aktach to jedno z operowych arcydzieł. Premiera odbyła się ostatecznie w Monachium w 1865 r. Spektakl uratował król Ludwik II, który wsparł tonącego w długach Ryszarda Wagnera, gdy po 77 próbach Wiedeń odmówił wystawienia dzieła, uważając je za niewykonalne.

W Monachium operę przyjęto z uznaniem, choć szybko zeszła z afisza. Czyżby wisiało nad nią fatum? Ludwig Schnorr von Carolsfeld, odtwórca Tristana, kilka tygodni później zmarł, zaś jego żona Malvina, monachijska Izolda, na zawsze porzuciła scenę. Partytura – powstająca pod wpływem trzech muz kompozytora (żony Minny, kochanki Matyldy Wesendock i przyszłej żony Cosimy, córki Liszta) – odznaczała się siłą, co do której kompozytor nie miał najmniejszych wątpliwości: „Moją sztukę, niezwykle wyrafinowaną i bardzo głęboką, nazwałbym sztuką przemiany. Mistrzowskim punktem w tym dziele jest z pewnością wielka scena drugiego aktu. To sekret mojej formy muzycznej, której

– jak ośmielałam się stwierdzić – w tym stopniu harmonii i przejrzystego połączenia elementów jeszcze dotychczas nie wymyślono”.

Nie mylił się. Dziś „Tristan i Izolda” należy do ścisłego kanonu. Dla niektórych to wręcz największe dzieło w historii teatru muzycznego.

WARSZAWSKĄ INSCENIZACJĘ ZALEWAJĄ MORSKIE FALE. Jesteśmy na okręcie wojennym. Wizualizacje w czasie orkiestrowych interludów przed każdym aktem są identyczne – nocą morze kołysze statkiem. Ekran okrętowego radaru pracuje non stop. To statek widmo, na którym rozgrywają się pierwsze dwa akty. Tristan przewozi pojmaną w Irlandii Izoldę, która ma zostać żoną króla Marka, władcy Kornwalii. Podział otwierającej się przed nami sceny przypomina inscenizację „Zamku Sinobrodęgo” Bartoka w reżyserii Trelińskiego sprzed kilku lat (zresztą autocytatów znajdziemy tu więcej). Konstrukcja jest przekrojem trzypoziomowego statku – kajut oficerskich, salonu-więzienia, najniższych pokładów.

Nie po raz pierwszy Treliński myśli kadrami filmowymi, co zresztą w operze, odkąd pojawiły się transmisje do kin i sal koncertowych, jest coraz powszechniejsze. W odpowiednich momentach akcja błyskawicznie przenosi się z jednego miejsca w drugie. Pod względem metaforycznym cała przestrzeń nie jest jednak niczym innym jak obrazem z monitoringu, ekranem podzielonym na części, na którym odbywa się ciągła inwigilacja naszej prywatności. Na statku nie da się niczego ukryć, nie ma też drogi ewakuacyjnej, bo wnętrza okrętu – połączone ze sobą schodami – tworzą

CZERWIEC Z WAGNEREM

– Już nie mogę dłużej słuchać Wagnera, zaczynam mieć ochotę na podbój Polski – mówił Woody Allen w „Tajemnicy morderstwa na Manhattanie”. Nie mielibyśmy nic przeciwko poddaniu się Allenowi. Na razie mamy prawdziwą inwazję muzyki Wagnera na Polskę.

Filharmonia Narodowa także zagrała w czerwcu „Tristana i Izoldę”, tyle że w wersji koncertowej, i to podzielonej na dwa dni. 3 czerwca zabrzmiał akt I, dzień później – II i III. W partiach tytułowych wystąpili Michael Weinius oraz Jennifer Wilson. Całość poprowadził Jacek Kaspszyk. Dzieło Wagnera zamknęło sezon artystyczny 2015/2016. W zeszłym tygodniu FN zagrała także „Tristana i Izoldę” w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu.

swoisty labirynt bez wyjścia. Inaczej: jedynym wyjściem jest śmierć.

SPEKTAKL SKĄPANY JEST W CIEMNOŚCIACH. Rozbłyskują tylko halo-geny statków i lampki stanowisk kontrolnych. Tristan intonuje: „Jesteśmy zaślubieni nocy! Zdradliwy dzień, zdradź nas wieczna noc!”. To „idea” nocy zgodnie z założeniami Wagnera kieruje bohaterami – noc jest czasem prawdy i miłości, dzień przynosi zdradę i tragedię.

Treliński tworzy na scenie szczególny rodzaj napięcia, które w żadnym momencie nie zostaje rozładowane. Konsekwentnie prowadzi swych bohaterów ku śmierci. Ich miłość jest powolnym odchodzeniem, oddalaniem się, wreszcie umieraniem. Nawet w najśłynniejszej scenie miłosnej w dzie-

Opera Krakowska wystawiła pierwszego w ponad 60-letniej historii Wagnera – „Tannhäusera”. Inscenizacja Laco Adamika – „złamana” między antykiem a współczesnością – z wszechobecnymi górami, krzesłami i ciągle zapalonymi papierosami nużyła powtarzalnością oraz pretensjonalnością. A i muzycznie Wagner okazał się zapórą nie do pokonania. Obsadzenie (II premiera z 10 czerwca) Janusza Ratajczaka w tytułowej partii było chybione – śpiewak nie miał warsztatu, by poprawnie zaśpiewać tę rolę. Ze składu solistów dobrze zaprezentował się Adam Szerszeń w roli Wolframa. Dla orkiestry partytura Wagnera okazała się całkowitą nowością. ●

jach opery (z aktu drugiego), gdy po zażyciu eliksiru miłości Tristan i Izolda w ekstazie wyznają sobie uczucie, wiemy, że to wędrówka ku innemu światu. Tu znowu jesteśmy na statku, w jakimś centrum dowodzenia – w wielkim duecie Treliński zostawia bohaterów samych sobie. Liczą się tylko ich śpiew i wyznanie pośród psychodelicznych wizualizacji Bartka Maciasa.

W akcie trzecim kalejdoskop zdarzeń przyspiesza. Tristan przykuty do szpitalnego łóżka odtwarza dzieciństwo (na scenie pojawia się chłopiec, młody Tristan), sceny z przeszłości: strzępki, które pojawiają się w chwili odchodzenia. Choć tak naprawdę nie wiemy, gdzie się obecnie znajduje: w swoim zamku czy może gdzieś na granicy dwóch światów? Umiera,

a wraz z nim Izolda, która podcina sobie żyły, choć... powraca na realnej do bólu wojskowej ceremonii pogrzebowej wieńczącej spektakl. Powtarzalność pomysłów, ale też nagromadzenie symboli, w porównaniu z czystym przekazem dwóch pierwszych aktów czyni w finale niepotrzebne spiętrzenia i chaos. Misternie budowana od początku dramaturgia słabnie i się rozpada. Niczym doczesny świat Tristana i Izoldy.

W jednej z recenzji po premierze w 1865 r. napisano: „W historii opery to przedstawienie będzie zawsze miało wielką wagę; pokazało, czego śpiewacy i orkiestra mogą dokonać i ile jest w stanie znieść publiczność”. Święta prawda. Cudów dokonał w Warszawie Stefan Soltesz, który nie po raz pierwszy poprowadził u nas Wagnera (ma także świetną rękę do Straussa). Orkiestra miała wspaniałe momenty, najważniejsze jednak, że Soltesz to dyrygent, który potrafi prowadzić śpiewaków, wiązać słowo z muzyką, a gdzie trzeba – bardzo inteligentnie „redukoować” orkiestrę.

Warszawski „Tristan i Izolda” przekonał mnie, jak trudno znaleźć dziś dobrą obsadę wokalną do Wagnera. Jay Hunter Morris zawiódł – nie był w stanie zaśpiewać całej partii, „błądził”, kondycyjnie i muzycznie nie wytrzymał spektaklu. Wieczór należał do pań: Izoldy – Melanie Diener (choć i ona miała słabsze chwile) oraz Brangeny – Michaeli Selinger. W Nowym Jorku zaśpiewają Stuart Skelton i Ninna Stemme (jedna z najlepszych dziś śpiewaczek wagnerowskich). Szkoda że ich głosów nie usłyszeliśmy w Warszawie, być może wtedy inscenizacja Trelińskiego nie smakowałaby tak gorzko. ●